Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Dwór klasycystyczny, 1791, zw. Du-Chateau w Hrubieszowie, obecnie Muzeum, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Kryzys ekonomiczny lat trzydziestych XX w. zmusił mojego ojca do przyjęcia propozycji zorganizowania Banku Spółdzielczego dla rolników i ziemian, w małym miasteczku powiatowym, w Hrubieszowie (ojciec był z zawodu finansistą).

Niestety, wiązało się to z opuszczeniem własnego domu w Zamościu. Widać, jednak była to konieczność, a posada dyrektora banku na tyle intratna, że dawała możliwość utrzymania rodziny na średnim poziomie. Zamieszkaliśmy wtedy w reprezentacyjnym miejscu, najpiękniejszym w mieście domu-dworze państwa Du Château, zajmując całą oficynę (wówczas była tylko jedna po prawej stronie patrząc na front pałacu). Dom był samodzielny, parterowy, czteropokojowy z kuchnią i przedpokojem oraz z gankiem drewnianym od frontu. W mansardzie znajdował się uroczy pokoik z oknem wychodzącym na stronę południową na płaski dach nad dworską kuchnią. Do tego

pokoiku wchodziło się po kręconych schodach prosto z jadalni. Schody były podparte drewnianym słupem malowanym olejną farbą, co dawało pewną śliskość. Używaliśmy go do skracania drogi i małpich wyczynów. Zawsze bracia byli szybsi ode mnie. Duży pokój – jadalnia posiadał okna na dwie strony zajmując całą szerokość budynku oficyny. Od strony zachodniej dwa okna na zieleń i podwórze i jedno wychodzące na front z klombem i okrągłym podjazdem, jak to zazwyczaj było w dworach polskich.

Dwór – pałacyk datowany w naczółku „1791" był może nawet wcześniejszy i zapewne budowany przez ostatniego starostę Hrubieszowa, miasta królewskiego, Franciszka Salezego Potockiego częściowo na terenie dawnego, drewnianego zamku królewskiego, zniszczonego przez Chmielnickiego w 1648 r. Przed dworem i wzdłuż ogrodzenia od ulicy 3-go Maja (wcześniej zwanej Pańską) rosły duże drzewa – jesiony i było dużo krzewów i zieleni otaczającego dwór spacerowego parku. We dworze mieszkali właściciele i mieściła się apteka z wejściem spod portyku. Po naszej stronie, w symetrycznym układzie dwa okna po bokach ganku. Sypialnia rodziców po prawej stronie od przedpokoju i na lewo pokój jadalny. Moje ukochane okno na gazon było świetnym miejscem, z którego przyglądałam się życiu. Zasypiałam w małżeńskich łożach rodziców w obecności ukochanego ojca, który zawsze klęcząc obok odmawiał wieczorny pacierz. Nie pamiętam, by mi kiedykolwiek coś opowiadał, dlatego pewnie tak mało wiem o jego rodzinie.

Pokój moich braci sąsiadował przez ścianę z sypialnią rodziców, stąd świetnie wiedzieli co tam się dzieje. Niejeden raz bijatyki uprawiane nader często przez chłopców zmuszały ojca do interwencji. Słychać wtedy było w całym domu klap, klap… w jedną stronę, potem zalegała cisza i znów klap, klap – powrót, bez słów. Siostrę miałam okrutną. Nie pozwalała mi spać w pokoju przeznaczonym dla nas obu, straszyła mnie duchami, a jak beczałam, zawijała w kołdrę i znosiła na dół na kanapę. Wtedy był prawdziwy ryk i ojciec zabierał mnie z powrotem.

W przedziwny sposób z domem tym związało się kilka wątków mojego życia. Ale może po kolei.

Lata przedwojenne były syte i pełne radości, rytmiczne bo odmierzane czasem pracy ojca, na którego czekałam już w przedpokoju, zaraz po 15-tej. Takie było codzienne powitanie: ojciec unosił mnie wysoko, wysoko (miałam wtedy 4-6 lat), a ja pytałam o

„losy” i „kaliptusy”, które zawsze dostawałam. Losy to były jakieś niewykorzystane druki reklamowe banku, a „kaliptusy” – cukierki eukaliptusowe, moje ulubione do dzisiaj. W parę minut po przyjściu ojca zasiadaliśmy sześcioosobową rodziną do stołu, do obiadu. Zwyczaj wspólnych posiłków utrzymał się przez wszystkie wspólne lata. Przy dużym, dębowym stole stanowiącym komplet z innymi meblami rodziców, które ojciec sam projektował i dawał wykonać ze specjalną myślą o domu w Zamościu, każdy miał swoje stałe miejsce i swoją serwetkę obok talerza. Z rozczuleniem, po latach, odnalazłam ten zwyczaj w dalekiej Szwecji, w domu przyjaciół, u baronostwa Hermelinów, do których kilka razy jeździłam w latach 1967-1975.

Przed rozpoczęciem obiadu cała nasza czwórka według starszeństwa, ze mną na końcu, poddawała się torturom picia tranu, którego wprost nie znosiliśmy. Szykowano więc kosteczki chleba, solono czubeczek łyżki, zatykano nos i obiecywano np. pójście na ślizgawkę lub na kajak latem, byleby tran był wypity. Po takiej ceremonii rzucaliśmy się szybko do talerzy z gorącą zupą, by zabić oleistość i ten zapach… Po obiedzie, w zależności od pory roku i pogody wybieraliśmy się do ogrodu, w którym była altana z trejażu (treillage) obrośnięta pnączami i spacerowe alejki. Rosło dużo rzadkich gatunków krzewów, jak magnolie wielkokwiatowe, liany, octowce wówczas rzadkość i srebrne świerki. Ogród był zaplanowany i prowadzony jako spacerowo-dekoracyjny, z wysokimi szpalerami przycinanych grabów, alejami i wystawą kwiatową na południe ku śluzie na Huczwie. Warzywnik był obok, odgrodzony. Właśnie na granicy parku i przy domu schodzącego warzywnika pamiętam tajemnicze wejście do lochów, o których moi bracia opowiadali dreszczem przejmujące historie. Śmiałkowie, którzy usiłowali zgłębić długość korytarza i kierunek, zawsze doznawali przykrych przygód: a to świece im zgasły, a to ktoś ich pobił lub nastraszył. Czy była to zwykła, dawna lodownia dworska, czy pozostałość piwnic starego zamku – trudno dzisiaj powiedzieć. Ślad po tym zaginął.

Stefan Du Château – profesor, konstruktor, architekt z Paryża wspominał podczas spotkania w Hrubieszowie, jesienią 1992 roku o swojej przygodzie, gdy młodzieńcem będąc wszedł w jakiś otwór lochów w rynkowych zakamarkach, a wyszedł gdzieś nad rzeką. Były więc z pewnością lochy pod częścią miasta, o czym wielu wspominało, jak chociażby Golejewski w „Pamiętnikach”. Były, bo być musiały ze względu na konieczność ciągłej obrony przed Tatarami. Napadali i palili miasto 9 razy i dopiero

Jan III Sobieski skutecznie położył temu kres w 1672 r.

Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

Przypominam sobie zdarzenie z pierwszych miesięcy po opuszczeniu miasta przez wojska niemieckie w 1944 r. , rozpowiadane między ludźmi, którzy w środku słonecznego dnia zobaczyli starego człowieka wychodzącego z piwnicy wprost na ulicę. Był pergaminowo blady, przestraszony, słaby i zdeterminowany. Przechowywał się w lochach przez lata pogromu żywiąc się pewnie jabłkami i towarami, które tam magazynowano. Biedak, nawet nie wiedział, że wojna się dla tej części Polski skończyła.

Te słynne podziemia mogą sięgać jeszcze XVI w. gdy Hrubieszów był warownią ze

wspomnianym już zamkiem królewskim, założonym przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. W imieniu monarchy rządy tą królewszczyzną, niezbyt cenioną, sprawowali starostowie. Toteż królowie zastawiali ją za grube pieniądze pożyczane od owych możnych starostów. O tym wszystkim dowiedziałam się już teraz, mając propozycję napisania referatu o dziejach Hrubieszowa w XIX w., gdy podlegał administracji carskiej Rosji. Sięgnęłam więc z zainteresowaniem do samych początków i szeroko otwierałam oczy dowiadując się, że był założony na wyspie otoczonej ramionami Huczwy, jej rozlewisk i bagien. Ostatnim prywatnym posiadaczem dominium hrubieszowskiego był sam ksiądz Stanisław Staszic, który właśnie tutaj założył pierwszą w Polsce spółdzielnię „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie" (1816) uwalniając chłopów od pańszczyzny pół wieku wcześniej niż stało się to pod zaborami. Ziemia przeszła na własność chłopów, ale żeby to prawnie uczynić musiał najpierw nabyć ziemię na własność, a jako syn mieszczanina nie miał do tego tytułu. Starano się więc o to długimi zabiegami prawnymi, za pośrednictwem Ignacego Cetnera oraz jego córki Anny i wreszcie po latach doczekał się realizacji swojej idei. Chyba jednak we dworze nie zamieszkał, co najwyżej, mógł się w nim zatrzymywać lub na plebani, gdzie później urodził się Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Z dzieciństwa ostatnich lat przed II wojną światową pamiętam same dobre i szczęśliwe dni. Nasze spacery nad Huczwą, pływanie kajakiem hen daleko aż pod most kolejki wąskotorowej, kąpiel w bagnistej wodzie pełnej szuwarów, strzałki wodnej, nenufarów i innych zielsk, którymi oplatały się wiosła, a podczas kąpieli nogi grzęzły. Było tam malowniczo i jedynie w swoim rodzaju. Huczwa wiła się wśród łąk i pod zwisającymi nad nią starymi drzewami, którymi obsadzano kiedyś obrzeża ogrodów przydomowych na spadającym lekko stoku ulicy początkowo zwanej Młyńską.

Na spacery chodziło się po pachnących łąkach tak elastycznych, że odnosiło się wrażenie, że stąpa się po gumie – miękko i przylepnie. Tylko w okresach długiej suszy ziemia pękała tworząc szczeliny lub siatkę drobnych spękań. Były to wspaniałe torfowiska. Ojciec zabierał nas także na spacery do niezbyt odległego lasu, Bohorodycy. Podczas jednego ze spacerów, zauważyłam dziwne podenerwowanie ojca. Pierwszy raz wydał mi się zupełnie inny. Był zdenerwowany, wręcz wzburzony patrząc na rozbieraną w dali drewnianą cerkiewkę. Tumany pyłu co chwilę przysłaniały wyrazistość tego widoku. Słychać było trzask łamanego drewna i huk rzucanych belek. Tatusiu, dlaczego burzą kościółek? – zapytałam. Ci, to tylko

wykonują polecenie, ale tamci nie mają racji – powiedział jakby do siebie ojciec. Nie rozumiałam wtedy kto są „tamci". Ale więcej nie pytałam. Dzisiaj wiem, że był to wielki błąd polityczny, który wkrótce odwrócił się zemstą i nienawiścią Ukraińców do Polaków – codziennie podpalane miasta i palenie okolicznych wsi. W latach okupacji dotkliwie to odczuwaliśmy. Zastrzelono np. doktora Kuczewskiego, który był opiekunem placówki PCK w Hrubieszowie, pomagał ludziom materialnie, leczył i chronił przed wywózką młodzieży do Niemiec na ciężkie roboty.

Z hrubieszowskich, przedwojennych lat pamiętam życie towarzyskie moich rodziców, oczywiście na miarę prowincji, ale bardzo ożywione. Mama należała do Sodalicji Mariańskiej – organizacji katolickiej skupiającej miejscową inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Organizowano tzw. „herbatki" z występami artystycznymi młodzieży, „opłatki" z choinką i śpiewaniem kolęd. Kiedyś i ja wygłosiłam wierszyk, ale z miernym efektem, bo zapomniałam dygnąć. Ile się potem w domu nasłuchałam od siostry! Kiedy indziej zapomniałam na początku powiedzieć autora czy tytułu – i znów była bura. Strasznie mnie to stresowało, a nikt nie pomyślał, że mam wrodzoną nieśmiałość, która mnie do dzisiaj paraliżuje w bardzo ważnych momentach życia. Pokonywałam samą siebie, ale ile to mnie kosztowało?… Przecież na całej mojej drodze zawodowej musiałam mówić stając przed ludźmi czasem niezwykłymi, słynnymi, już sama świadomość unieruchamiała mózg, a tu trzeba było trzymać się na nogach, nie wymachiwać rękoma, bez żadnego zbędnego gestu, dobierać odpowiednie słowa i przecież nie tylko polskie. Pokonanie tego wszystkiego i uruchomienie szarych komórek z wiedzą natychmiast potrzebną – zawsze mnie drogo kosztowało i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Pochwał też nie było, czasem grzecznościowe podziękowania, z których naturalnie cieszyłam się, ale nigdy nie oczekiwałam. Moim spełnianiem się jest praca naukowa w bibliotekach, archiwach, poszukiwanie dokumentów, dochodzenie do prawdy historycznej, odkrywanie faktów dotąd nieznanych, pisanie o tym i opracowywanie w zaciszu domu czy pracowni muzealnej. Z wyborem zawodu trafiłam w dziesiątkę, chociaż nie była to pierwsza dziedzin z ulubionych. Jestem szczęśliwa i uważam, że swój czas wykorzystałam maksymalnie, nie marnując ani jednego dnia. Może to wszystko, co dał mi Hrubieszów ukierunkowało dalszą drogę, którą poszłam i dalej jeszcze idę. Taką prostą i przejrzystą, jak krajobraz znad Huczwy.

Mama (Eleonora Fabijańska) wącha różę

Najbardziej lubiłam okres przed Bożym Narodzeniem. Pierwszy śnieg, rześkie powietrze, wygwieżdżone niebo. Wieczorne zakupy w sklepach Hapońskiego i Baty, powrót do ciepłego domu z mnóstwem pakuneczków zawieszonych na ozdobnych sznureczkach, ładnie opakowanych. Jakiż Hrubieszów wydawał mi się wielkomiejski ze swoimi dziś nieistniejącymi, prywatnymi sklepami. Był ich cały szereg w zachodnim rogu dawnego rynku bardziej i mniej eleganckich, drewnianych witryn z perfumerią, sklepem bławatnym i obuwniczym na czele. Cóż to była za radość i duma z posiadania pierwszych w życiu czarnych lakierek, kupionych specjalnie na ślub kuzynki Lili Piątkowskiej.

– O, właśnie widzę sznur sań dworskich, które zajeżdżały przed dwór z gośćmi weselnymi z odległego o 7 km Czumowa. Para Młoda podjechała najmodniejszym

wówczas samochodem marki buck, na kołach o drewnianych szprychach, chyba jedynym jaki był w Hrubieszowie. Zdaje się, że właścicielem był pan Juliusz Du Château, gospodarz dworu. Przystanek z przebieraniem był u nas. Obserwowałam kreacje pań, fraki panów i usiłowałam sobie wyobrazić bal, na który mnie nie zabrano. Ale przy ślubie byłam ważna, prawie jak panna młoda. Niosłam długi, długi tren, a Dzidka Brojewska welon. Ach, co to był za ślub…! – Szereg par ustawionych w orszak zaczynał się przy ołtarzu, kończył pod chórem. Tata wbił się we frak, mama miała szytą specjalnie na tę okazję suknię z pięknego aksamitu w kolorze mchu z dodatkami z morelowej tafty. A więc kołnierz á la Maria Stuart, stojący, podbity taftą, dół sukni z trenem, udrapowany pasek zakończony był riuszką z tejże tafty. Te dwa kolory bardzo mi się podobały i stały się ulubionymi na całe życie. Uwielbiam też welury, miękkie aksamity, mięsiste i lejące, otulające sylwetkę.

Mama miała jeszcze drugą suknię, lżejszą, przygotowaną na wesele. Jedwab ciemnoszary w drobniutki biały wzorek. Przód był ułożony w draperię spiętą dużym, sztucznym srebrzystym kwiatem. Nie pamiętam jej długości, ale chyba zgodnie z modą lat trzydziestych była długa i swobodna. Fryzura w głębokie fale na bok spadające. Włosy naturalnie srebrzące się (mama wcześnie osiwiała) długie, upięte w kok nad karkiem. Była taka ładna, ojciec był bardzo przystojny, postawny. Twarz spokojna, owalna o wysokim czole i niezbyt obfitym owłosieniu, zawsze uśmiechający się. Byli szczęśliwi. Siostra moja, Ela jako pierwsza drużka w różowej, dziewczęcej sukience suto marszczonej, podobnej do krynoliny, z dopasowanym gorsecikiem ozdobionym pękiem sztucznych, różowych różyczek i takimże wianuszkiem na czarnych włosach utrefionych przez fryzjera we francuskie loki, ściskała w dłoni torebeczkę – woreczek z tej samej tafty. Wszystkie te dodatki długo przechowywała w kwadratowym, eleganckim pudełku z ozdobnej złotym wzorkiem tektury, w którym przyjechały z Warszawy. Lili suknia chyba też była kupiona w Warszawie lub szyta. Biały atłas podkreślał jej kobiece już kształty, chociaż miała zaledwie lat osiemnaście. Długi rękaw, bez dekoltu, gładka i dopasowana z trenem. Welon dopasowany do kształtu głowy i delikatny, biały kwiat. Wacek oczywiście w czarnym fraku, wypomadowany i upudrowany. Był pedantem czystości i bardzo dbał o estetykę wyglądu. Był dużo starszy od Lili, miał chyba 30 lat i jako znakomity fachowiec, po rolniczych studiach zarządzał majątkiem ziemskim cioci Niusi, matki Lili. Nie taki mariaż marzył się cioci, a przede wszystkim nie zaraz po maturze. Ale

małżeństwo okazało się trwałe. Mieli pięcioro dzieci (trzecie z kolei, maleńka Zosia zmarła w niemowlęctwie). Czwórka udanych, zdolnych, zaradnych chowała się dobrze, troje jeszcze żyje: Maryla, Andrzej i Jaś. Wacek po ślubie usamodzielnił się, najpierw jako zarządca majątku w Trzeszczanach, a wkrótce jako dziedzic na Wiszniowie.

Wracając do pamiętnego ślubu, jako dziecko przeznaczone do niesienia trenu, ubrana byłam w lekko kremową jedwabną sukienkę z koronkowymi falbankami, wiązaną z tyłu na kokardę. Kokarda w kształcie motyla siedziała także na mojej czarnej łepetynie. Białe pończochy i czarne lakierki dopełniały całości. Dzidka miała błękitną, aksamitną sukienkę z karczkiem i szczypankami, na których przede wszystkim rzucały się w oczy kolorowe, haftowane pajączki. Takie sukienki ozdobione białym kołnierzykiem bebe ogromnie były modne i kupowało się je gotowe sklepach. Dzidka miała przywiezioną z Warszawy. Podczas ceremonii ślubnej odbywającej się wieczorem 2 lutego 1938 r. kościół św. Mikoła w Hrubieszowie, tonął w światłach i świecach. Wszystko, co było możliwe, jasno się paliło. Wypełnili go licznie zebrani goście weselni i zwykli gapie. Przejęta swą rolą, czułam się jak aktorka, na którą wszyscy patrzą. Starałam się więc nie ruszać, nie rozglądać i być poważną. Ile miałam wtedy lat? – a no pięć i pół. Po uroczystości w kościele weselnicy odjechali do pobliskiego Czumowa na wesele w pałacu. My, dzieci, zostaliśmy w domu. Odczułam z tego powodu wielką niesprawiedliwość, tym bardziej, że Dzidka została zabrana, a przecież obie byłyśmy rówieśniczkami. Takie to były pierwsze, dziecięce gorycze, których nie zwierzyłam nikomu. Może nie miałam odwagi?

Z czasów przedwojennych pamiętam święta te największe i te państwowe, jak Konstytucji 3-go Maja bardzo uroczyście obchodzone. Również Boże Ciało kiedy to sypałam kwiatki podczas procesji w białej sukience i w wianuszku. Zachowało się amatorskie zdjęcie naszej czwórki siedzącej na stopniach ołtarza, który umieszczono na naszym ganku. Ostatnia Wielkanoc zapisała się w mej pamięci obfitością stołu wielkanocnego, którym było biurko taty stojące między oknami w jadalni. To było prawdziwie dworskie święcone. Na białym obrusie stały baby lukrowane i ozdobione skórką pomarańczową (cykatą), kiełbasa biała zwinięta w wianuszek utopiona w smalcu, szynka w całości gotowana, pasztet szpikowany paseczkami słoniny wyglądający jak tort, obok na tacach mnóstwo mazurków, na środku duży biały

baranek z chorągiewką czerwoną i złotym krzyżem na niej malowanym i kolorowe jajka – kraszanki. Barwinek z ogrodu, pierwsze, wiosenne kwiaty (Wielkanoc w 1939 r. była 9 kwietnia) uzupełniały tę bardzo smakowitą kompozycję. Poświęcił nam to wszystko ksiądz prałat Melchior Juściński, z którym rodzice przyjaźnili się. Przez długie lata był proboszczem w Hrubieszowie.

Moje lalki też miały święcone: miniaturowe jajeczka, łeb świński, różową szynkę i mazurki – wszystko z marcepanu, przysłane przez ciocię Milusię, mamy siostrę z Warszawy. W pamięci hrubieszowskich lat dziecięcych zostały także zabawy. Te w ogrodzie z braćmi i te bardziej przeze mnie lubiane z Olesiem Du Château np. w „panią i szofera" na starej platformie do rozwożenia piwa i wód gazowanych, która stała pod wiatą w podwórzu.

Chodziliśmy czasem do apteki i tam ciocia Gienia (ciocia Olesia – farmaceutka) dawała nam sok malinowy do okrągłych białych opłatków, w które apteki sypały zazwyczaj medyczne specyfiki. Nam to bardzo smakowało. Nawiasem mówiąc prywatna apteka rodziny państwa Du Château istniała w Hrubieszowie w tym dworze od 1850 r. od kiedy i dwór zaczął należeć do tej francuskiej rodziny, która wybrała Polskę na drugą swoją ojczyznę. Zajmowała dużą część lewego parteru z wnętrzami przesklepionymi i obszernymi. Rodzice Olesia i maleńkiego wówczas Jasia, państwo Maria z domu Mazaraki i Juliusz Du Château mieszkali do 1939 r. zajmując najpiękniejsze wnętrza od frontu i od ogrodu z wejściem przez taras. Urządzone były z ogromnym smakiem, stylowo i po dworsku z salonem na osi, w którym stał fortepian, z sypialnią po stronie apteki, jadalnią od kuchni w dobudówce o płaskim dachu i z pokojami dzieci od frontu. Przed tarasem rosły piękne magnolie, srebrne świerki i zataczały półkole grabowe szpalery. Góra dworu – piętro, w tych latach nie było zamieszkane.

Rodzina Fabijańskich: mama (Eleonora), Witek (Wiktor), tata (Józef), Julek (mały – Juliusz) i Ela (Elżbieta)

Kiedyś była większa wyprawa w tę część, którą zapamiętałam jako niezwykłą przygodę. Wydawało mi się, że znalazłam się w bajkowym świecie. Do dzisiaj jawi mi się jak sen. Ściany hallu wyłożone zszarzałą, biało lakierowaną boazerią, udawały pewną przytulność wnętrz. Stąd rozchodziło się mnóstwo pomieszczeń. Czułam specyficzny zapach staroci i rozsychającego się drewna. Przez uchylone drzwi ukazał mi się pokój dziecinny pełen starych, nieużywanych zabawek. Jednak ktoś tam utrzymywał porządek, sprzątał, odkurzał, bo nie robiło to wrażenia rupieciarni, raczej kultu dla pamiątek po kimś. To był zaczarowany świat, do którego bałam się wejść. Podłoga skrzypiała za każdym stąpnięciem. Deski (zapewne kiedyś przykrywał je dywan) też były malowane. Zabawki cudowne, jakich nigdy w życiu nie widziałam, zdradzały zamożność domu i nie przypominały tych ze sklepów. Jak w „Laleczce z saskiej

porcelany” czy „Wieszczce lalek”, których wtedy jeszcze nie znałam, jawił mi się ciemnozielony kufer pełen pajacyków, kolombin, arlekinów, lalek w krynolinach i w białych peruczkach. Chciało się pociągnąć za sznurki, by zaczęły tańczyć, ruszać się i śpiewać. Była też mała scena dla kukiełek z jedwabną, rozsuwaną kurtyną. Inne zabawki leżały na półkach: żołnierzyki w strojach z okresu Księstwa Warszawskiego, dobosze, książę Józef Poniatowski na koniu. Szabelki, konie na biegunach i porcelanowe lalki o słodkich buziach z prawdziwymi włosami, przepięknie ubrane w koronkowe suknie – to było czarujące spotkanie z przeszłością.

Po trzydziestu latach, ten obraz spowodowany jasnym kolorem i zapachem rozsychających się boazerii, powrócił tak wyraziście w Petit Trianon Marii Antoniny, bardzo wówczas zaniedbanym (1969). Nasunęło mi się skojarzenie, jakiego doznałam w czasie zwiedzania. Oczywiście inny czas, inny poziom artystyczny, ale duch wnętrz ten sam, duch na wskroś francuski.

Zabawy z braćmi bywały łobuzerskie, szczególnie te w ogrodzie. Huśtanie się na lianach, które łącznie z drzewami tworzyły gąszcz na obrzeżu nad śluzą, wysokim i stromym, powodowały obrażenia, podrapania i sińce, za co obrywaliśmy niezłą burę.

Gorsza w skutkach była jednak wojna na grudy gliny, które najpierw jako amunicję pracowicie zbieraliśmy na stoku. Wysmarowani, zmęczeni wracaliśmy do domu, gdzie o dziwo (!) czekała tylko ogromna blaszana wanna i kąpiel po kolei od najmłodszego do najstarszego. Dzisiaj takie praktyki wydają się być super niehigieniczne. A jednak byliśmy czyści i zdrowi. Kąpiel w wannie nie była taka prosta. Studnia na pompę żeliwną, bardzo ciężko chodzącą, znajdowała się, po drugiej stronie ulicy. Trzeba było wodę nanosić wiadrami, nagrzać w kociołku. Wanna była duża, bez odpływu, dlatego wodę z niej wylewało się czerpakiem do zlewu. Konieczne czynności wykonywała z godnością, dziobata jak durszlak gosposia zwana Aleksandrową. Każdorazowe wyjście na ulicę obligowało ją do zmiany stroju na wyjściowy i poprawienia makijażu, a nakładała grubą warstwę różu, by choć trochę przykryć skutki strasznej choroby zwanej ospą. Zawsze przyglądałam się z niemałym podziwem, jak ona to szybko robiła.

Nasze czteropokojowe mieszkanie z kuchnią, przedpokojem i gankiem było urządzone prosto i skromnie. Dębowe meble z epoki modernizmu, robione na specjalne zamó-

wienie ojca do zamojskiego domu, bardzo pasowały i do tego również dworku. Zielona otomana z wysokim zapleckiem, pokryta obiciową tkaniną podobną do strzyżonego pluszu, w dotyku szorstkiego, stała na dużym, zielonożółtym dywanie. Obok kąt zajmował komplet salonikowy, skąpo tapicerowany i kryty wełnianym pasiakiem z przewagą zieleni, jakby nawiązującym do łowickich zapasek. Pod oknem frontowym stało mamy biurko z mnóstwem szufladek, a pod nim pokój miały moje lalki i nawet światełko elektryczne zrobił mi Witek z bateryjki od latarki. Na środku stał duży stół, normalnie sześcioosobowy, a w razie potrzeby rozsuwany na dodatkowe 4-6 osób. Między dwoma oknami od ogrodu warzywnego, znajdowało się ogromne biurko taty i w kącie kredens. W oknach wisiały muślinowe, białe firanki, podpięte po bokach. Nasze meble, wszystkie zostały zaprojektowane przez ojca, był utalentowany artystycznie i w młodości próbował i malować i rzeźbić. Wielka szkoda, że nie mógł z powodu I wojny światowej rozwinąć swych zdolności.

Babunia, Władysława z Taczanowskich Fabijańska wcześnie owdowiała, gdy syn miał zaledwie 9 lat, a młodsza córka Janina zaczynała chodzić do szkoły. Stało się to nagle, podczas świąt Bożego Narodzenia w Poturzynie, dokąd pojechali w mroźną i śnieżną porę do rodziny sankami. Dziadek, który siedział obok stangreta i zabawiał go rozmową po tej podróży, zachorował na gardło. Silna gorączka, brak lekarza, może i zlekceważenie czy zbagatelizowanie nagłej choroby spowodowały zgon. Został pochowany w Oszczowie koło Poturzyna, bo tam była parafia i cmentarz. Próżno po latach na tym wiejskim cmentarzu szukaliśmy grobu dziadka. Nigdy wcześniej nikt mnie tam nie zawiózł.

Wspomnienia ukazują się w trzeci piątek miesiąca.

Poprzednia część wspomnień „Z rodzinnego albumu”:

https://www.cultureave.com/z-rodzinnego-albumu-zamosc/

O Czumowie:

https://www.cultureave.com/polskie-siedziby-rodzinne-czumow/